Nr. 14 | Należyt. poczt. opł. ryczałt. | **We Lwowie, 16 lipca 1931** | **Rok 53**

ŁOWIEC

WYCHODZI 1 i 16 KAŻDEGO MIESIĄCA

Do członków! Kwartalna wkładka dla członków wynosi 9·— złp.

Prenumerata kwartalna wynosi 4 zł. — Cena pojedynczego numeru 1 zł. Ceny ogłoszeń: cała strona 200 zł., 1/2 str. 100 zł 1/4 str. 50 zł., 1/8 str. 25 zł., 1/16 str. 12·50 zł. — Ogłoszenia na pierwszej stronie o 50% drożej. Drobne ogłoszenia 30 gr. słowo.

Redakcja i Administracja: Lwów, ul. Ossolińskich 11, III p, (Małopolskie Towarzystwo Łowieckie) — godz. biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. — Redaktor przyjmuje strony w biurze Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego we wtorki i piątki o godz. 12-tej
Redakcja nie zwraca rękopisow już drukowanych i zastrzega sobie konieczne zmiany i skróty
Adres telegramów: „Łowiec", Ossolińskich 11. — P. K. O. Konto Nr. 145.839. — Telefon Nr. 18 - 59.

Czasy ochrony zwierzyny (Art. 48 i 49) **dla Małopolski.** Ciemne pola oznaczają czas ochrony.

Rodzaj zwierzyny	Styczeń	Luty	Marzec	Kwiecień	Maj	Czerwiec	Lipiec	Sierpień	Wrzesień	Październ.	Listopad	Grudzień
Jelenie - byki, daniele - rogacze	■	■	■	■	■	■	■	■			■	■
Sarny - kozły		■	■	▌20								
Zające - szaraki		■	■	■	■	■	■	■	■			
Borsuki	■	■	■	■	■	■	■	■				■
Wiewiórki *)			■	■	■	■	■	■	■	■		
Głuszce - koguty	■	■	▌15		15▐	■	■	■	■	■	■	■
Cietrzewie - koguty						■	■	▌15				
Jarząbki		■	■	■	■	■	■	▌15				
Bażanty - koguty		■	■	■	■	■	■	■				
Kuropatwy	■	■	■	■	■	■	■	■				■
Przepiórki	■	■	■	■	■	■	■	■				
Słonki					15▐	■	■	▌15				
Bataljony						■	▌10					
Dzikie kaczory						■	▌10					
Dzikie kaczki (samice i młode) oraz inne ptactwo wodne i błotne			■	■	■	■	▌10					
Dzikie łabędzie i dzikie gęsi					15▐	■	■					
Dropie *), dropie kamionki (strepety), dzikie gołębie, drozdy, kwiczoły, paszkoty		■	■	■	■	■	■	▌15				
Ptaki krukowate i drapieżne z wyjątkiem jastrzębi gołębiarzy, krogulców, wron i srok		■	■	■	■	■	■	▌15				
Żubry, bobry, kozice, świstaki, samice i cielęta: łosia, jelenia, daniela, sarny-kozy i koźlęta, niedźwiedzice od niedźwiątek, głuszce-kury, bażanty-kury, czarne bociany oraz w województwach: pomorskiem, poznańskiem, warszawskiem, łódzkiem, kieleckiem, lubelskiem, krakowskiem, lwowskiem, tarnopolskiem i stanisławowskiem cietrzewie-kury	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■

*) Na mocy dodatkowego rozporządzenia Min. rol. ochrona przez cały rok do odwołania.

Kalendarz ten nie obejmuje czasowych rozporządzeń Województw małopolskich, tyczących przedłużeń czasu ochrony pewnych gatunków zwierzyny łownej.

Do nabycia w Biurze M. T. Ł., Lwów, ul. Ossolińskich 11. III p.

C. C. G.: Wspomnienia z rykowisk	zł 6·—
Kobylański J. Wł.: Humor i łacina myśliwska	„ 1·50
— O dawnych i obecnym zwierzyńcu w Krakowie	1·50
— Jak powstał w odrodzonej Polsce pierwszy zwierzyniec w Warszawie	„ 3·—
— O zwierzyńcu w Katowicach	„ 3·—
Lisowice III. tom	„ 5·—
Krogulski Seweryn: Pół Wieku	„ 3·—
Mniszek Albert: Jarząbek	„ 3·—
Orski St. W.: A było to wczas rano	„ 6 —
Ostrowski Stefan: Z piersi myśliwego	„ 2·25
Roczniki „Łowca" z lat poprzednich	zł 15·—
Roczniki „Łowca" od 1928 r.	„ 20·—
Sztolcman Jan: Żubr	„ 3·30
Ustawa Łowiecka Gal. z r. 1910	„ —·30
Ustawa Łowiecka	„ 0·80
Wodzicki hr. Kazimierz: Wspomnienia z życia łowieckiego	„ 3·50
— „Słonka"	„ 2·50
Ziembicki Witołd: Bibljografja prac Kazimierza hr. Wodzickiego	„ 1·50

z doliczeniem opakowania i porta

TREŚĆ NUMERU 14:

Bogumił Magdziński: Gruźlica u sarn i sposób jej zwalczania. — *W. G. S.:* Prawdziwa bajka (feljeton). — *Inż. Antoni Korasiewicz:* Czy pies myśli? (c. d.). — *A. Jakubowicz*; Jeszcze o wiosennych tokach. — *Aleksander Ulm:* Łowiectwo na Wystawie Regjonalnej i Rolniczej w Tarnopolu. — *Frantz Munch Rosenberg:* Łowy na grubego zwierza (c. d.). — *Aleksander Ulm:* Pierwszy pokaz trofeów łowieckich w Warszawie. — Korespondencje. — Komunikat

Nr. 14 We Lwowie, 16 lipca 1931 Rok 53



ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

BOGUMIŁ MAGDZIŃSKI

Gruźlica u sarn i sposób jej zwalczania

Gruźlica (Tuberculosis) jest chorobą spotykaną u sarn dość często. Wywołują ją, jak wiadomo, laseczniki gruźlicze (bacillus tuberculosis). Gruźlica istniała już przed tysiącami lat. Jednak, nietylko uczeni starożytni, lecz i lekarze ery późniejszej, mianowicie w końcu XVIII wieku, nie pojmowali istoty tej choroby, nie znali jej etjologji i nie wiązali ze sobą w jedną całość rozmaitych postaci chorobowych, jakie gruźlica przybiera. Proces gruźliczy, ich zdaniem, powstawał pod wpływem całego szeregu czynników wewnętrznych, oraz zewnętrznych. Jeszcze w końcu XVIII stulecia gruźlica nie była zaliczona do chorób zakaźnych. Laennec w XVIII wieku, pierwszy określił istotę zmian anatomiczno-patologicznych, spowodowanych gruźlicą i badając jej poszczególne etapy, udowodnił, że początkowo polegają one zawsze na powstawaniu gruzełków, skąd nazwa choroby — gruźlica, tuberculosis. Będąc również wynalazcą auskultacji (wysłuchiwania szmerów w ciele chorego dla rozpoznania choroby), Laennec dał jednocześnie podstawy rozpoznawania gruźlicy płuc. — Poglądy Laennec'a znalazły potwierdzenie doświadczalne dopiero w pracach Villemin'a (1865 r.). Szczepiąc królikom materję zakaźną, pobraną z chorych na gruźlicę ludzi, Villemin wywołał chorobę tę u tych zwierząt. W dalszych swych badaniach, opierając się zawsze na zakażeniach doświadczalnych, Villemin dowiódł jedności różnych postaci gruźlicy ludzkiej i zwierzęcej. Nowe te poglądy na istotę gruźlicy wywołały początkowo w świecie naukowym duży sprzeciw, lecz, w miarę rozwoju badań, znajdywały one stopniowo coraz szersze uznanie. Gruźlica weszła w poczet chorób zakaźnych, chociaż zarazek jej był jeszcze podówczas nieznany.

W tym czasie — pod wpływem genjalnych prac Pasteura — zaczęła się bujnie rozwijać nowa nauka — bakterjologja. Jedną z wczesnych zdobyczy tej nauki było wykrycie zarazków gruźlicy. Prątek gruźlicy został wykryty przez uczonego niemieckiego Roberta Kocha (1882 r.), zarówno w plwocinie chorych na gruźlicę płuc, jak też w tkankach gruźliczych w przypadkach gruźlicy ludzkiej i doświadczalnej. Koch otrzymał następnie hodowle zarazków gruźlicy na podłożach sztucznych i znalazł tuberkulinę. Następnie Ehrlich wykazał, że prątki gruźlicy posiadają pewne własności charakterystyczne, ułatwiające ich rozpoznawanie — jest to ich odporność na alkohol i kwasy.

Lasecznik gruźlicy należy do tlenowców. Ma kształt cienkiej i smukłej laseczki, 1,5—3,5 mikronów długiej i 0,2—0,4 mikronów szerokiej, o końcach zaokrąglonych. Jest niekiedy nieznacznie zgięty i ziarenkowato przerywany, pozatem — jest zawsze nieruchomy. W preparatach barwionych występują laseczniki pojedyńczo,

parami, lub grupują się, tworząc jakby skupione pęki. Barwią się dopiero pod silnem działaniem karbolowych roztworów barwikowych.

Laseczniki lub inaczej prątki gruźlicy i zmiany chorobowe przez nie wywołane, znajdujemy nie tylko wśród ludzi, lecz i u najrozmaitszych gatunków zwierząt. Są to zawsze laseczniki alkoholo- i kwasooporne, wywołujące powstawanie gruzełków. Znamy następujące cztery typy prątków gruźliczych: prątek gruźlicy ludzkiej (Typus humanus), prątek gruźlicy bydlęcej (Typus bovinus), prątek gruźlicy ptasiej (Typus avinus) i prątek gruźlicy rybiej Typus poikilothermorum), zwierząt zimnokrwistych wogóle, t. j. ryb, żółwi i płazów. Pod względem morfologicznym (nauka o budowie i kształtowaniu się ciał organicznych) są one do siebie zupełnie podobne, z wyjątkiem prątków gruźlicy bydlęcej, które są nieco krótsze.

Prątki gruźlicy bydlęcej rozwijają się najlepiej w temperaturze 38—40°. Światło słoneczne zabija je, natomiast zasuszone, mogą w ciemności lub w mięsie zasolonem albo uwędzonem, przebywać przez dłuższy okres czasu (kilka miesięcy), nie tracąc nic ze swej energji życiowej. Również nie są wrażliwe na gnicie i mogą w otoczeniu gnijącej materji przebywać i kilka miesięcy. Poza promieniami słonecznemi zabija bakterje np. temperatura wrzącego mleka, lecz pod tym warunkiem, że mleko gotuje się przez trzy minuty bez przerwy. Również czterogodzinne działanie kwasu żołądkowego nie zabija, a nawet nie osłabia laseczników gruźliczych. Natomiast osłabia bakterje działanie kwasu żołądkowego, trwające 6—8 godzin, zaś działanie 18—24 godzinne — zabija je. Silne środki dezynfekcyjne, rozpuszczające białko, zabijają bakterję natychmiast. (4% rozczyn lizolu lub 5% rozczyn kwasu karbolowego).

Zakażenie prątkami gruźlicy następuje najczęściej drogą pokarmową przez jelita, następnie przez błonę śluzową gardła, nosa, przez migdałki, przez płuca i przez skaleczoną skórę. Wrót wejścia, przez które zarazki gruźlicy przedostały się do ustroju, zazwyczaj nie znamy, ponieważ żadne zmiany chorobowe tu nie powstają. Prątki gruźlicze przedostają się odrazu do naczyń chłonnych i do gruczołów chłonnych, to też w nich w pierwszym rzędzie rozwija się proces chorobotwórczy. Przerzuty do innych narządów i tkanek i uogólnianie procesu następuje później. Przenikanie prątków do ustroju nie zawsze znamionuje chorobę. Na to, aby rozwinął się proces chorobotwórczy, konieczną jest obecność prątków zjadliwych i w dostatecznej ilości. Jeżeli ilość prątków przedostających się naraz do ustroju jest znaczna, następuje ciężkie zakażenie, w konsekwencji czego, choroba rozwija się szybko. Jest to przykład zakażenia jednokrotnego. Częściej jednak zakażenie prątkami gruźlicy następuje z dnia na dzień przy każdej okazji zetknięcia się ze źródłem zarazków. W tych przypadkach działa coraz większa ilość bakteryj, które przedostają się do ustroju przy każdej okazji zetknięcia się z ich źródłem. O postępowaniu zakażenia gruźlicą decyduje w tym wypadku zjadliwość bakteryj, ich ilość i częstość stykania się z niemi.

Bakcyl gruźlicy wytwarza zawsze gruzełek. Świeży gruzełek, widoczny gołem okiem (przy badaniu ubitych sztuk gruźliczych) jest wielkości główki szpilki lub prosa, barwy szarawo-białej, początkowo przeświecającej, potem mętnej, przechodzącej stopniowo w barwę żółtą, w następstwie zwyrodnienia tłuszczowego i zserowacenia, które rozpoczyna się w środku gruzełka. Gruzełek gruźliczy jest wytworem zapalenia wytwórczego i wysiąkowego, które powstaje z nagromadzenia się dookoła laseczników gruźlicy — elementów podstawowych, mianowicie komórek okrągłych, które następnie przekształcają się w komórki nabłonkowate. W następstwie zlania się kilku komórek nabłonkowatych, powstają komórki olbrzymie. Dookoła tych elementów podstawowych gromadzą się w dalszym ciągu limfocyty jednoją-

---

W. G. S.

Prawdziwa bajka

W wielkiem mieście była duża kamienica. Rzadko kiedy w wielkich miastach pojawiają się skrzydlate drapieżniki; ale są psiska i psiaki, kocury i kocięta, szczury i najgorszy drapieżnik — człowiek.

W tej kamienicy postanowili państwo wróblowie wybudować sobie pod okapem dachu we framudze okna strychowego, gniazdko. Wśród miłosnego, ciągłego ćwierkania, zalotnych konkurów z napuszonem pierzem samczyka, zakładały wróbliki mieszkanie dla przyszłej progenitury. Szare, brudne, powalane sadzą, korzystały z każdej sposobności, by się bądź to w piasku, bądź to w pierwszej lepszej jamce z deszczową wodą wykąpać. Ale i to nie pomagało.

Mimo, że ich brunatno-pstra sukienka nie lśniła powabem wiejskim w szarem mieście, bardzo się kochały. Zaloty miłosne wniosły w gniazdko cztery jajka, które pani wróblowa, czasem naprzemian z swoim małżonkiem pieczołowicie wysiadywała, grzejąc i chłodząc w razie potrzeby, obracając w miarę, zmieniając położenie. Dzięki tym subtelnym zabiegom, niebawem jajeczka zaczęły drgać, skorupki się otwierały i czworo piskląt ujrzało świat boży.

Żarłocznych tych czworo wróblątek rodzice z niespożytą pracą starały się nakarmić, widząc wciąż otwarte żółte dzióbki i nienasycone brzuszki. Młode wróbliki szybko się rozwijały, mając coraz mniej miejsca w swem ciasnem mieszkaniu, mimo usunięcia niepotrzebnych skorupek jaj, które to im właściwie życie dały.

Odważniejsze z czworga tych ptasząt, zaczynały wyskakiwać z gniazdka, ba nawet trzepotać miękkiemi skrzydełkami i próbować lotu.

I tak raz przyszedł dla jednego dzień fatalny. Zu-

drzaste i leukocyty wielojądrzaste, przenikające z sąsiednich naczyń krwionośnych. Dookoła tak tworzącego się gruzełka gromadzą się w końcu komórki włóknikotwórcze, powodujące łącznotkankowe odgraniczenie gruzełka. Gruzełek gruźliczy nie posiada naczyń krwionośnych i dlatego też ulega szybko przemianie wstecznej (obumarcie, zserowacenie, zwapnienie). Po zserowaceniu gruczołek się rozpada, dając początek powstawaniu wrzodów. Przez zakażenie wrzodów przychodzi do wytworzenia owrzodzeń, ropni gruźliczych i jam.

Gruźlica występuje przeważnie u tych sarn, które przebywają w zwierzyńcach lub okólnikach, w każdym razie — w miejscach odgraniczonych parkanami. Wówczas gruźlica bydlęca udziela się sarnom najczęściej przez mleko, które podaje się im w formie pokarmu. Mleko to, jeżeli pochodzi od bydła gruźliczego, bardzo łatwo może zarazić młode sarny, jeżeli nie jest przegotowane. Zarażenie się sarn dokonuje się również przez ciągłe stykanie się w zamknięciu z innemi zwierzętami choremi na gruźlicę.

Objawy kliniczne gruźlicy u sarny zależne są od formy gruźlicy. Gruźlica może objawiać się w narządach pojedyńczych, względnie także w odnośnych gruczołach chłonnych, które znajdują się w sąsiedztwie narządów gruźliczych. Początkowo są one obrzmiałe, soczyste, miejscami zaróżowione, następnie zasiane małemi plamkami mętnemi, w których powstają guziczki lub rozlane zserowacenia. W późniejszym okresie gruczoły występują w postaci dużych zbitych guzów, zawierających wewnątrz wielkie suche ogniska zserowaciałe, barwy żółtej. Często zdarza się zupełne zserowacenie gruczołu.

G r u ź l i c a p ł u c przybiera u młodych zwierząt zazwyczaj formę zapalenia kataralnego lub odoskrzelowego. Forma kataralna (Pneumonia catarrhalis tuberculosa) objawia się następująco: Części płuca dotknięte procesem chorobowym są zbite, dosyć oporne i bezpowietrzne. Z powierzchni przekroju można tępą częścią ostrza noża zebrać nieznaczną ilość cieczy serowato-ropnej, zabarwionej różowo-szaro, szaro-biało, względnie żółto-szaro. Wskutek zserowacenia wysięku i rozpadu tkanki płucnej, powstają suche lub rozmiękczone ogniska serowate rozmaitej wielkości. Przy formie odoskrzelowej (Bronchopneumonia miliaris disseminata) występują w tkance płucnej na coraz to większej przestrzeni guziczki, wielkości od ziarnka soczewicy do ziarnka grochu, barwy szaro-białej, na przekroju gładkie lub w części środkowej serowato rozmiękczone.

Zaś gruźlica płuc objawia się następująco: Naprzód powstaje kaszel, początkowo suchy, krótki, później występujący w napadach kurczowych; zwierz wyrzuca od czasu do czasu śluzowo-ropną wydzielinę barwy żółtoszarej. Pozatem choroba objawia się następującemi symptomatami: utrudnionym i przyśpieszonym oddechem, wilgotnem rzężeniem w płucach, stan odżywiania coraz gorszy mimo dobrego apetytu, włos szorstki i najeżony, podskórne gruczoły chłonne powiększone i twarde; wewnętrzna ciepłota ciała jest normalna, lub też występuje gorączka przerywana, względnie zwalniająca; występuje również ogólne wychudzenie, osłabienie i charłactwo. O ile także opłucna zajęta jest procesem gruźliczym, uwidocznia się przy ucisku wzmożona wrażliwość odnośnych części klatki piersiowej, a przy osłuchaniu można zauważyć szmery tarcia.

Gruźlicze zapalenie j e l i t (Enteritis tuberculosa bovum) występuje przeważnie w jelicie biodrowem i ślepem. Objawia się początkowo powiększeniem grudek (mieszków) chłonnych śluzówki, które sterczą ponad powierzchnię śluzówki w postaci nieznacznych wyniosłości (guziczków) dochodzących wielkości ziarna konopi, barwy różowej, w środku mętno-żółtej (początek zserowacenia). W późniejszym okresie wytwarzają się z guziczków wrzody, o zgrubiałych, ostro odgraniczonych brzegach w postaci wału i o wgłębieniu kratero-

---

chwały samczyk, próbując się emancypować w szerokim locie, spadł w podwórzu na mój ganek. Służąca wyratowała go wczas z pazurów kota i przyniosła do mnie z zapytaniem, co z biednem wróblątkiem zrobić.

Wysadziłem wróblika na skrzynkę na ganku. Nie minęło parę sekund a mimo obecności dwojga ludzi tuż obok, starsi państwo wróblowie natychmiast nadlecieli i siadłszy przy swoim małym, o krok od moich stóp, trzepotały się z radości i dawały mu rozumnie znaki, jak ma się zachować, w którym kierunku podlecieć, gdzie usiąść i spocząć, aby z powrotem sprowadzić go do gniazdka.

Z dobrej pół godziny przypatrywałem się tym zabiegom. Przez cały czas rodzice oka z dziecka nie spuścili. Wciąż ćwierkając, przylatywały stare do wróbelka i podlatywały najpierw na poręcz balkonu, potem na framugę okna, pokazując mu wyraźnie najkrótsze etapy lotu.

Obserwując parę starych wróbli, mogłem wyraźnie stwierdzić różnicę pieczołowitości, w jaki sposób matka nakłaniała synka do lotu, wybierając najkrótsze i najłatwiejsze przeloty, gdy natomiast samczyk przylatywał do synka i tłumaczył mu, że wprost z ganku należy lecieć przez całe podwórze na dach domu. Gdy nareszcie mały wróblik zdobył się na pierwszy lot, zatrzepotał i w panicznym strachu uczepił się gładkiego muru w podwórzu kamienicy; szczęśliwie jakaś grudka znalazła się w tynku, która go utrzymać zdołała. W tej samej chwili starsi państwo wróblowie zlecieli z pomocą i usiedli tuż pod małym, jakby chcąc go podtrzymać i zabezpieczyć od upadku. Zabiegi rodziców w zupełności się powiodły. — Mały wróbelek z gładkiego muru przefrunął na parapet okna, stąd na górną ramę okienną, dalej na okienku przy strychu, wreszcie na rynnę dachową i stąd blaszanym dachem, rodzice doprowadzili go z powrotem do gniazdka.

Drobnemi przelotami, długiemi wypoczynkami, po

watem, sięgające do podśluzówki, względnie warstwy mięśniowej. Dno wrzodów starszych jest pokryte kruchą, serowatą masą szaro-żółtą. Ze zlania się poszczególnych wrzodów powstają większe owrzodzenia, kształtu owalnego lub nieregularnego. Części śluzówki nieowrzodzone wykazują z reguły zmiany przewlekłego kataru jelit.

Przy gruźlicy jelit występują naprzemian powtarzające się biegunki i zatkania (kał zmieszany jest zazwyczaj ze śluzem lub ropą, niejednokrotnie ze smugami krwi), upośledzone odżywiania się, wychudzenie, często powtarzające się wzdęcia i bóle kolkowe.

Przy perlicy (gruźlicy błon surowiczych) widoczne są na blaszkach opłucnej i na otrzewnej, kosmate wybujałości, z początku miękkie i soczyste, barwy szaro-różowej, zasiane małemi żółtemi guziczkami, w późniejszym okresie kształtu zbitych okrągłych tworów (wybujałości perliste), które zawierają ogniska zserowaciałe lub zwapniałe. Te twory zwisają częstokroć z podstawy, przypominając wyglądem kształt winogron; ulegają one zwapnieniu w stosunkowo krótkim czasie. Przy perlicy nie występują widoczne, swoiste objawy chorobowe.

Gruźlica wątroby (Tuberculosis hepatis) powstaje w następstwie zakażenia wątroby lasecznikami gruźliczemi, drogą dużego obiegu krwi (hemotogenetycznie), w rzadkich wypadkach również drogą obiegu limfy (limfogenetycznie) w sposób bliżej nieznany (Joest). Choroba objawia się wystąpieniem mnogich rozsianych gruzełków prosówkowych w postaci delikatnych punkcików barwy szarej lub szaro-białej, przeświecających przez torebkę wątrobową. Gruzełki starsze dochodzą wielkości ziarna prosa i są ostro lub też mniej ostro odgraniczone od otaczającej tkanki. Gdy znajdują się w nieznacznej ilości, pozostają nadal odosobnione i mogą dorość wielkości ziarna grochu. W przeciwnym zaś razie, gdy znajdują się w bardzo znacznej ilości, tworzą skupienia wielkości orzecha laskowego, włoskiego lub jaja kurzego. Po pewnym czasie poszczególne gruzełki, względnie skupione ogniska gruźlicze, ulegają zserowaceniu, względnie zwapnieniu, oraz otorbieniu przez bujającą dookoła tkankę łączną i przedstawiają się jako szaro-białe, zbite guzy, leżące przeważnie bezpośrednio pod torebką wątrobną (przewlekły proces gruźliczy). Po nakrojeniu guza gruźliczego, uwidoczniają się dwie warstwy, mianowicie wewnętrzna w postaci masy żółtawej, zserowaciałej lub też zwapniałej i zewnętrzna w postaci rąbka torebki łączno-tkankowej, mozdelowatej, barwy szaro-białej. Gruzełki rozwijające się w tkance łącznej śródmiąższowej mogą przebić się do przewodów żółciowych i do naczyń krwionośnych. — Gruźlicy wątroby towarzyszą z reguły zmiany gruźlicze gruczołów chłonnych wątrobnych, które są powiększone i zawierają przeważnie ogniska serowate.

Gruźlica nerek (Tuberculosis renum) zdarza się jako objaw gruźlicy ogólnej. Nerka dotknięta procesem gruźliczym wykazuje następujące zmiany anatomo-patologiczne: w formie ostrej — powierzchnia nerki jest zasiana ogniskami przeważnie wielkości główki szpilki, jużto nieco wyniosłemi ponad powierzchnię, jużto płaskiemi, barwy białej. Ogniska ulegają po pewnym czasie zserowaceniu. Na przekroju nerki spotyka się w warstwie rdzennej liczne ogniska gruźlicze, zaś w warstwie korowej — nieliczne. Gdy ogniska gruźlicze są bardzo liczne, nerka jest większa, niż normalnie. Przy formie przewlekłej, wytwarzają się guzy gruźlicze w następstwie zlania się poszczególnych ognisk. Występują one na powierzchni nerki w postaci twardych wyniosłości barwy szaro-białej lub żółtej, dochodzących wielkości ziarna grochu do orzecha laskowego i ulegają po pewnym czasie zserowaceniu.

Gruźlica kości występuje najczęściej w kręgach grzbietowych, w mostku i żebrach. Ogniska gruźlicze świeże są miękkie, starsze serowate i zwapniałe, barwy

---

półgodzinnym trudzie, niepokoju i znużeniu, wróblątko zostało wyratowane. Dwa razy w ciągu mojej obserwacji, rodzice naprzemian zalatywali do gniazda, zaglądając do reszty swojej progenitury.

Nie łatwo obserwować naturę, a jak trudno o niej pisać; na to trzeba Kazimierza Wodzickiego. Jeśli dziś tę prawdziwą bajkę piszę, to tylko dlatego, by znów stwierdzić, ile to miłości, ile poświęcenia, jak umiejętnie obmyślany plan ratowniczy — liczący się z wątłemi siłami drobnej ptaszyny, odczuć można było w tych zabiegach starych wróbli, dla ich pisklęcia.

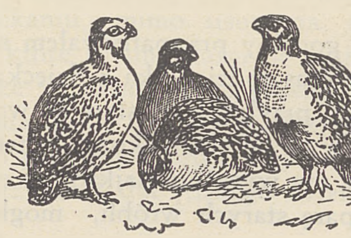
Moja cierpliwość udzieliła się służbie także, która co chwilę pytała się, gdzie jest wróbelek i przy każdej zmianie tegoż pozycji, wychodziła oglądać postępy żmudnej podróży wątłego wróblątka na tej dla niego bezkresnej drodze na dach.

Jeżeli drobna ptaszyna w swych początkach ma takie trudności lotnicze, cóż mówić o naszym L. O. P. P.!

Ileż ono musiało zwalczyć przeciwności, ile wtłoczyć wiedzy w swe poczynania, ile dzielnych umysłów musiało współpracować, aby dojść do dziś osiągniętych rezultatów.

Orły zazdrośnie staczają walki z samolotami, które zabierają im odwieczne prawo wyłącznego bujania w przestworzach.

Ile to można z natury nauczyć się i wziąć przykładów, byle umieć się patrzeć, chcieć podziwiać, Boga w naturze chwalić i zająć się nawet małem marnem wróblątkiem.



szaro=różowej, względnie szaro=żółtej. W okolicznych gruczołach chłonnych występują zmiany gruźlicze. Przy gruźlicy żeber zewnętrzna warstwa kości jest tak miękka, iż można ją przeciąć nożem.

Gruzełki gruźlicze występują u sarny również w innych narządach, a zwłaszcza w śledzionie. W mięśniach szkieletu spotyka się ogniska gruźlicze nader rzadko, z wyjątkiem przypadków gruźlicy ogólnej, t. zw. miliarki. Ostra miliarka uwidacznia się gorączką, znacznem przygnębieniem, szybko postępującem naprzód wychudzeniem i dusznością. Przy końcu choroby występują niejednokrotnie symptomy ostrego zapalenia opon mózgowych, które objawia się drganiem gałek ocznych, nierównomiernem rozszerzeniem źrenic i zesztywnieniem karku. Należy również nadmienić, że gruzełki gruźlicze u sarny rzadko podlegają zwapnieniom.

Jak już wyżej wspomniano, przeważnie chorują na gruźlicę te sarny, które przebywają w zagrodzeniach i otrzymują jako pożywienie surowe mleko krów gruźliczych. Ażeby skutecznie zapobiec rozwojowi gruźlicy, należy przedewszystkiem nie dawać surowego mleka, lecz tylko przegotowane i to ogrzane do 80° w ciągu 15 min. lub do 70° w ciągu pół godz., co powoduje zupełne zniszczenie wszystkich bakteryj gruźliczych. Pozatem, jeżeli w stadzie przebywają sarny z otwartą gruźlicą, należy je odstrzelić lub usunąć w miejsce odosobnione, następnie wydezynfekować cały obszar, na którym przebywały chore jednostki.

LITERATURA:

Villemin, Acad. de med., Paris, 4 dec. 1865.

R. Koch, Berl. klin. Wochenschrift, 1882, Nr. 15.

Klenke, Untersuchungen im Gebiete der Anatomie usw., Leipzig, 1843.

Cohnheim u. Salomonsen, Schles. Ges. f. vaterl. Kultur, 1877.

Dr. A. Schultze, Berl. Tierärztl. Wochenschr., 1911.

Dr. Alfred Trawiński. Higjena mięsa. 1924.

Doc. Dr. med. Helena Sparrow. Zarys Bakterjologji chorób zakaźnych. 1930.



INŻ. ANTONI KORASIEWICZ

Czy pies myśli?

(Ciąg dalszy)

W czasie mego pobytu nad Wisłą, prosił mię właściciel sąsiedniej wsi, p. S., abym przyjechał kiedy w wolnym czasie na kuropatwy z psem, gdyż on psa nie ma. Wyrwałem się raz w pogodny dzień po południu od moich zajęć i pojechałem do pana S.; zastałem państwa S. ze synem siedzących na terasie po obiedzie przy czarnej kawie, którą i mnie podano. Lord siedział przy mnie, jakby dumny był, że właśnie o nim toczyła się rozmowa. Po jakimś czasie nikt nie zauważył, że pies odszedł do jadalnego pokoju i powrócił stamtąd niebawem. — Skierowałem wzrok w czasie rozmowy na psa i — o zgrozo — Pies siedzi ku mnie zwrócony i trzyma w paszczy pieczeń cielęcą, abym ją sobie odebrał. Nigdy tego w domu nie zrobił, owszem, strzegł pilnie, aby drugi pies lub kura nie ruszały mięsa leżącego nisko na klocu. To samo uczynił mi drugi raz w innej miejscowości, gdzie poszedł do kredensu i wyciągnął całą szynkę sarnią z marynaty i przyniósł do mnie, usiadł i czekał, aż sobie odbiorę przyniesione mięso. Byłem wówczas z gospodarzem tak zagadany, że dłuższy czas pies z tym prezentem siedział, zanim go zauważyliśmy.

Co w tym wypadku pies myślał, trudno zgadnąć, gdyż powtarzam raz jeszcze, że nigdy w domu bez pozwolenia nic nie ruszył. Przypuszczam, że troszczył się o swego pana w obcem miejscu, aby nie zgłodniał.

Po tym niefortunnym występie Lorda pojechaliśmy z synem pana S. na kuropatwy. W małym kawałku ziemniaków chłopskich wystawił pies kuropatwy, które po pierwszych strzałach zostawiwszy haracz, poleciały w stronę olbrzymiej, właśnie skoszonej łąki, na której potraw leżał na pokosach. Rozmawiając z młodym p. S. szliśmy w kierunku odlotu kuropatw przez skoszoną łąkę. Lord nie szukając na skoszonej łące, pobiegł przed nami w kierunku ornych pól i o kilkaset kroków na kraju łąki pod jeszcze niezebranym bobem, stanął. — Przyśpieszyliśmy kroku ku niemu, gdy w tem z pod nóg zerwała się jedna kuropatwa po mej stronie i padła z dymem po strzale, trzepocąc się na pokosie siana. Pies odwrócił głowę, a zobaczywszy trzepocącą się kuropatwę na pokosie, wycofał się (dosłownie) ze swej stójki, pobiegł galopem po strzeloną kuropatwę, w galopie przyniósł do nóg, siadł, a gdym ją odebrał, w galopie nawrócił pod ów bób i stanął w tem samem miejscu, oglądając się od czasu do czasu, czy za nim idziemy. Po zbliżeniu się nas, kuropatwy już przestraszone zerwały natychmiast. Działo się to tak szybko, jak gdyby scena umyślnie wyuczona do kinematografu a tembardziej efekt podnosiło to, że pies wszystko robił bez słówka rozkazu lub giestu z mej strony, a więc tylko jako istota myśląca, pełnił swą służbę w najmniejszych szczegółach jak najdokładniej.

Lord był również skończonym gentlemanem; na zaczepki lada kundysa wiejskiego zupełnie nie reagował, nie patrząc nawet na niego, a wobec legawej suki znalazł się na polowaniu tak grzecznie,ześmy trzej obecni na tem polowaniu ubawili się tem doskonale. A było to pod Kańczugą, gdzie przyjeżdżając na urlop do brata, polowałem z nim na ptaki, których tam była różnorodność niebywała. Gdyśmy polowali już dłuższy czas przy moim Lordzie, nadjechał zarządca dóbr p. S. ze swą legawą suką. Zaraz oba psy po „przywitaniu się" poczęły szukać w łanie buraków, gdzie było dużo przepiórek, chróścieli i kuropatw. Suczyna miała słaby wiatr i nie mogąc nic znaleźć, przybiegała do Lorda natychmiast, skoro tylko ten stanął do zwierzyny i w tej chwili mu sekundowała. Lord popatrzał na nią i zostawiał ją stojącą przy znalezionej zwierzynie, a sam, jak gdyby nic tam nie było, szedł dalej szukać. Tego przecie również nikt go nie uczył i tylko można to zachowanie się jego wytłumaczyć tem, że myślał sobie: „szkoda czasu dla nas dwojga przy jednym ptaku tracić". Albo też chciał być tak uprzejmy i grzeczny wobec płci pięknej.

Pies ten niejednokrotnie jeszcze dawał dowody myślenia, których, aby łaskawego czytelnika nie znudzić, nie przytaczam.

Na zakończenie o tym psie muszę jeszcze dodać, że choć był bezwzględnie posłuszny i apel miał nadzwyczajny, bo na gwizd zawracał tak, jakby szarpnięty koralami, których nigdy nie miał na karku, to jednak w pewnym tylko wypadku nie usłuchał.

A mianowicie gdy mu się kazało poszukać w pewnem miejscu, czy ptaka strzelonego, czy też żywej, domniemanej zwierzyny, a przeszedłszy tem miejscem, raz nie znalazł, to drugi raz tam nie poszedł ani za dobrym ani za złym sposobem wydanym rozkazem. Wracał skulony do nogi i udawał niedysponowanego.

Chcąc się raz przekonać, czy przecie da się ten jego upór, czy zarozumiałość psią przełamać, kazałem mu iść za nogą i udawałem, że sam szukam zbarczonej kuropatwy, — zostawał w tyle i nawet za nogą w tem miejscu nie chciał iść. Wziąłem go więc na smycz i odprowadziłem dalej, poczem w oddaleniu z tego miejsca kazałem mu szukać; wyskoczył w tej chwili naprzód jak z procy i szukał. Zatoczywszy półkole po półgodzinnem może szukaniu w okolicy fatalnego miejsca, zdążałem umyślnie powoli ku temuż. Gdym się znalazł na terenie, gdzie kuropatwa przepadła, w tej chwili ogon pod siebie wziąwszy, uciekł z przed pola za nogę. Widząc, że na to nic nie poradzę, dałem po tej próbie raz na zawsze za wygraną i skoro zaszedł podobny wypadek, nie tracąc czasu, szedłem dalej, nie zmuszając psa do powtórnego szukania.

Byłby to też dowód myślenia i rodzaj zarozumiałości: „pokazałem ci, że tu nic niema, więc szukać drugi raz nie będę".

A jednak aporterem był niezrównanym. Po strzale obserwował ptaki i po pudłach zupełnych kroku nie zrobił, lecz wyrażał czasem swe niezadowolenie cichem skomleniem.

Gdy ptak trafiony spadał, to w tym kierunku zaraz, bez rozkazu biegł, czy płynął i przynosił; — nawet daleko od miejsca strzału padłą kuropatwę umiał zaraz znachodzić.

Raz strzelona kuropatwa nad łanem buraków przed wałem Dunajca leciała jak po równi pochyłej w górę i za wałem w obszerną a gęstą niezmiernie kępę wiklinową, zrobiwszy świecę, padła. Nawet chwili nie przypuszczałem, aby ją mógł znaleźć, gdyż odległość od miejsca strzału była znaczna, a kępa przerosła dzikim chmielem stanowiła nieprzebytą dżunglę. Za kilka minut był pies z kuropatwą przy mnie.

Inny wypadek znowu dał dowód również niezwykłej zmyślności psa. Kuropatwa strzelona podobnie zrobiła świecę w kierunku rzeczki zarosłej po obydwu brzegach gęstemi krzakami. Poszedł po strzale w kierunku odlotu kuropatwy, uznawszy ją za postrzeloną i przepadł nad korytem rzeczki. Dłuższy czas bawił i zacząłem się już niepokoić. Wreszcie pokazał się cały zmoczony, znacznie dalej z biegiem wody z kuropatwą również zmoczoną, która widocznie spadła w sam środek rzeczki i bystry prąd uniósł ją szybko w dół.

Służył mi jakiś czas jeszcze bardzo dobrze na terenach wodnych, jednak gdy mię z Tarnowa przeniesiono do Żydaczowa, jako kierownika budowy regulacji Dniestru i tu niestety, nie miałem wiele czasu do zajmowania się psem i polowaniem, wobec odpowiedzialnego nader stanowiska, mój lord rozwłóczył się po mieście i zjadłszy gdzieś prawdopodobnie trutkę na szczury, chorował całą zimę, wychudł na szkielet, a głowa mu monstrualnie spuchła i zginął wreszcie na wiosnę. Weterynarz ani powiatowy, ani miejski nie umiał nic na to poradzić.

Pożyczył mi potem brat na sezon sukę bardzo rasową, nowoniemkę, która przeszła u mnie „edukację" wodną i z niej, po psie pana T. równie bardzo rasowym, wabiącym się „Wido", a wyrzuconym wówczas z konkursu w Przeworsku z powodu maści niewłaściwej rasie (był maści żółtej), miałem psa, którego nazwałem Fryc.

Był maści hreczkowatej jak matka, prześlicznie zbudowany, z temperamentem i wiatrem pointera, a miał zaletę i tę jeszcze, że nie odziedziczył głupoty (? Red.) po pointerach. Był to pies równie nadzwyczajnych zalet, choć nie zdradzał tej samodzielności w robocie, co tamten, to zachowanie się jego w służbie łowieckiej dawało również dowody, że pies umie myśleć. Był bardzo trudny do ułożenia z powodu nadzwyczajnego temperamentu, lecz korale zrobiły zeń bardzo posłusznego psa. Po tresurze pokojowej, wzięty w pole, szukał doskonale i znachodził szybko ptaka, stawał twardo, ale po zerwaniu się zwierzyny gnał tak zapalczywie, szczególnie zająca, że nie sposób było strzelić. Wziąłem więc ze sobą i w pole korale, a gdy stanął pies do zwierzyny, przychodziłem doń powoli i zakładałem mu delikatnie ko-

rale, które zrobiły swoje przy szarpnięciu się i pies po kilku lekcjach zrozumiał doskonale, że trzeba czekać, aż padnie strzał skuteczny. Potem wystawiał np. zająca w ten sposób, że, gdy ten z kopna nie ruszał, to na rozkaz „pójdź dalej" okrążał nieruszającą z miejsca zwierzynę wkoło, przystając ze wszystkich stron. Prześlicznie wystawiał krzyki, które nie każdy pies wystawia dobrze, a nawet ignoruje. Posiadając wiatr wspaniały, na kilkadziesiąt kroków przed krzykiem, niosąc głowę górą, szedł wolno, coraz wolniej i doprowadzał tak do krzyka ślicznie, że ten się zrywał jak przepiórka blisko.

Wobec ciekących przed nim kuropatw za szybko stosował tę samą metodę, którą przytacza Szanowny Autor w swym artykule „Czy zwierzęta myślą?", w Nr. 23 „Łowca" z r. 1930, t. j. okrążał w galopie kuropatwy i zabiegłszy im drogę, stawał do nich z przeciwnej strony, zmuszając je do zerwania się na strzał. Takiego manewru tresura nie wyuczy i tylko na karb myślenia psa policzyć go należy.

Aporter był niezrównany i przy tej czynności dawał niejednokrotnie dowody myślenia, — jakkolwiek nie miał w swych czynnościach własnej inicjatywy, jak poprzednio opisany, lecz wyczekiwał zawsze mojego rozkazu, przyczem rozumiał doskonale polecenie wydane nie tylko głosem, lecz i skinieniem ręki.

Przejeżdżając koło starego koryta Dniestru, zauważyłem stadko cyraneczek siedzących na środku wody. „Fryca" zostawiłem na wózku pod opieką furmana z poleceniem puszczenia go, gdy strzelę. Strzeliłem jedną kaczkę, która na miejscu nie padła, lecz dopiero o kilkaset kroków na drugiej stronie wody t. j. na wyspie, gdyż stare koryto było odcięte przekopem. Pies nie zobaczywszy nic na wodzie, pytał mię niejako wzrokiem, co ma robić. Wydałem rozkaz, wskazując kierunek ręką „naprzód". Pies skoczył do wody, przepłynął ją i na brzegu znowu się pytał, co ma robić. Powtórzyłem rozkaz „naprzód i szukaj, aport!". Szukał zwykle w galopie, a w tym wypadku, biegł wolnym kłusem i od czasu do czasu zatrzymywał się, jakby się pytał wzrokiem, w którym kierunku ma dalej iść, a gdy otrzymał gest ręką, szedł dalej i wreszcie kierowany w ten sposób, doszedł leżącą kaczkę, którą chwyciwszy w galopie już, przyniósł.

Na wysokim brzegu, którego stok stromy kończył się wązkiem jeziorem, będącem starem koryciskiem rzeki, wszedł Fryc ze ściérni w mały zagonek ziemniaków, znacząc zwierzynę w sposób inny zupełnie niż zwykle i wreszcie stanął. Miałem w lufach śrut Nr. 14, gdyż spodziewałem się przepiórki lub młodych bardzo kuropatw, bo była to dopiero druga połowa sierpnia (przed wojną). Po awansie psa, zrywa się przed nim jakiś duży, srokaty, biały z czarnem ptak, którego nieoczekiwany widok tak mię zadziwił, żem w pierwszej chwili zapomniał, że mam strzelbę w ręku. A gdym wreszcie zdecydował się na strzał, było już trochę za daleko na cienki śrut; ale ptak po strzale zwiesił nogi i kuper, lecz odleciał nisko w stronę stromego stoku i wody. Wydałem rozkaz psu: „aport!", po którym ten skoczył za ptakiem galopem, lecz nad brzegiem zatrzymał się. Widocznie ptak zaraz opadł do wody — pomyślałem — i to zanim pies dobiegł do brzegu, gdyż inaczej byłby biegł dalej w kierunku lotu ptaka. Słońce zachodziło, więc zrezygnowałem z dalszego polowania i postanowiłem choćby do ciemnej nocy szukać strzelonego ptaka, którego byłem bardzo ciekaw bliżej oglądnąć. Zeszedłszy pod brzeg, kazałem psu szukać w jeziorku, które było porośnięte kępinami sitowia i szuwaru. Pies posłusznie przeszukał znaczną powierzchnię jeziorka i wreszcie zmęczony wylazł na jedną z kępin, skulił się i jakby mi robił wyrzuty, patrząc na mnie: „czego ty chcesz odemnie, tu nic niema". Zrozumiałem go i wydałem rozkaz „naprzód" pokazując ręką przeciwny brzeg jeziorka. I on mię zrozumiał, bo wskoczył do wody, a przepłynąwszy na przeciwny brzeg i otrzepawszy się z wody, przystanął i pytał wzrokiem, co ma robić. Dając ręką w lewo znak, wydałem rozkaz: „szukaj, aport". I znowu zrozumieliśmy się; — szedł truchtem uważnie ponad brzeg, wietrząc, a gdym osądził, że w przybliżeniu doszedł już poza obręb, w którym mógł ptak spaść, gwizdnąłem i kazałem skinieniem ręki szukać w prawo. Pies znowu mię zrozumiał i szukał ponad wodą w przeciwnym kierunku. Wkońcu przystanął raptem, poczem poskoczywszy wprzód, podniósł z ziemi upragnioną zdobycz, którą z radością przepłynąwszy wodę, oddał. Był to młody bażant srebrzysty, kogut, którego pierwszy raz w życiu spotkałem i strzelałem, a który przyszedł ponad brzeg rzeki z bażantarni sąsiedniego rewiru.

Wątpić należy, aby pies nieumiejący myśleć, w ten sposób rozumiał, czego pan od niego żąda, zwłaszcza, że mógł go temperament unieść w przyległe do wody, z przeciwnej strony rozległe zarośla wiklinowe, w których nie jeden zajączek przesiadywać musiał..

(Dok. n.)



A. JAKUBOWICZ

Jeszcze o wiosennych tokach

Dnia 26 kwietnia wybrałem się z kuzynem moim na głuszce, na teren dzierżawiony przez nas obok Żabiego. W normalnych latach w tym czasie głuszce już dobrze tokują, w tym roku jednak wobec spóźnionej wiosny leżał jeszcze bardzo głęboki śnieg na północno-wschodnim stoku góry B. K., gdzie zwykle głuszce tokują. — O wyjściu na górę od strony tokowiska z powodu głębokiego śniegu nie było mowy, po naradzie z przewodnikiem postanowiłem wyjść w nocy ścieżką na stronę południową, a potem mieliśmy przejść przez szczyt na miejsce toków.

O godzinie pierwszej w nocy wyszliśmy z chaty i według powziętego planu dostaliśmy się na szczyt góry.

Szczyt zupełnie nagi, skalisty, pokryty zlodowaciałym śniegiem, tak twardym, że nie można było powłoki kijem przebić, i trzeba było dobrze uważać, żeby się nie pośliznąć i nie zjechać w dół.

Przewodnik sprowadził mnie niżej, gdzie rosły już karłowate jodły i oznajmił, że głuszce będą grały niżej.

Niedługo zaczęło świtać i zaraz z pierwszym brzaskiem odezwało się chrapanie słonki, a w kilka minut usłyszałem kłapanie koguta, najpierw powolne i jakby odmierzone a potem coraz szybsze i częstsze.

Zacząłem podchodzić, okazało się jednak, że już pomiędzy pierwszemi drzewami śnieg był daleko miększy, tak, że skorupa śnieżna za każdym krokiem załamywała się z chrzęstem a ja wpadałem po pas w śnieg. Gramolenie się było bardzo mozolne, kładłem strzelbę na śniegu, opierałem się na niej rękami i pomału wyłaziłem na śnieg po to, aby się po kilku krokach znowu zapaść.

Po trzech takich próbach przekonałem się, że w taki sposób głuszca nie podejdę, usiadłem zatem na śniegu i zacząłem siedząco zjeżdżać z góry do głuszca. Ten sposób okazał się dobrym, tylko małe bryłki śniegu nieostrożnie strącane toczyły się w stronę głuszca, co mogło go spłoszyć. Zacząłem więc przesuwać się bardziej na prawo, tak, żeby śnieg nie leciał wprost na koguta a ja żebym go miał więcej na lewo, co mi także i strzał ułatwiało.

Tak zjeżdżając, dostałem się na małą polanę, do grupy jodeł, w których głuszec grał.

Podczas pieśni wstałem, ażeby się za głuszcem rozejrzeć, ale w tej chwili straciłem równowagę, upadłem twarzą w przód i zacząłem zjeżdżać w dół. Prawą ręką uniosłem strzelbę do góry, a lewą starałem się zahamować; tymczasem na polanie śnieg znowu był twardy tak, że hamowanie nic nie pomogło, minąłem grupę drzew, gdzie głuszec grał i zatrzymałem się dopiero o kilkadziesiąt kroków niżej.

Głuszec oczywiście przestał grać, ponieważ jednak nie zleciał, pozostałem nieruchomy w leżącej pozycji, mając nadzieję, że się może odezwie.

W takiej pozycji leżałem około dziesięć minut i już traciłem nadzieję, gdy wtem zobaczyłem koguta idącego w moim kierunku piechotą, wstrzymałem formalnie oddech starając się nie drgnąć nawet powieką. Kogut zbliżył się do mnie na 20 kroków, kłapnął parę razy, oglądnął mnie dokładnie i widocznie zdziwiony, gdyż w takiej pozycji zobaczył myśliwego po raz pierwszy, odszedł piechotą w następną grupę drzew, gdzie go zupełnie z oczu straciłem.

Złość moja była okropna, wydrapałem się z trudem w miejsce, gdzie zostawiłem przewodnika i począłem po wytchnięciu kląć. Przewodnik wysłuchał wszystkiego w spokoju a kiedy skończyłem, wyciągnął rękę, wskazując kierunek ze słowami: „a tam klepaje druhej".

W tej chwili zapomniałem o złości i zmęczeniu i rozpocząłem podchodzić a raczej podjeżdżać drugiego koguta.

Mając już więcej doświadczenia, podjeżdżałem daleko ostrożniej i patrzyłem uważnie na drzewa i na ziemię, gdzie faktycznie i ten kogut grał. Po chwili wypatrywania, zobaczyłem głuszca kroczącego po śniegu z rozpostartemi skrzydłami i rozłożonym wachlarzem, szedł w moim kierunku; złożyłem się do strzału i kiedy wychylił się na odkryte miejsce przerwałem jego pieśń, nacisnąwszy cyngiel.

Zwabiony strzałem nadszedł przewodnik, zacząłem oglądać koguta, ale nie zdążyłem jeszcze ochłonąć z pierwszych emocyj i nacieszyć się zdobyczą, kiedy znowu poniżej, usłyszałem grającego nowego trubadura; zostawiłem swoją zdobycz pod opieką przewodnika i zacząłem się podsuwać w kierunku pieśni.

Ten głuszec był także na ziemi i pomimo to, że starałem się szybko go podejść, posuwał się piechotą w dół tak, że odległość bardzo nieznacznie między nami się zmniejszała, wkońcu wskutek nieuwagi, załamałem się na śniegu tak głośno, że kogut uleciał. — Teraz zacząłem się zastanawiać, w jaki sposób dostanę się na górę; zmęczony, przemoknięty od tającego śniegu, z wodą w butach, miałem nie wesołą perspektywę drapania się w górę. Zauważyłem jednak na lewo dużą polanę, sięgającą prawie szczytu i wykombinowałem, że tam śnieg zapewne twardy, po którym łatwo mi będzie wyjść.

Jakież było moje rozczarowanie, kiedy dobrnąwszy do polany przekonałem się, że śnieg jest tak samo głęboki i miękki, jak między drzewami.

I kiedy tak siedziałem w śniegu i rozmyślałem, jakby się stąd wydostać, rozglądnąłem się po polanie i w tej chwili apatja i zmęczenie prysły.

Na przeciwległym skraju polany siedział na wysokim świerku głuszec i skąpany cały w promieniach słońca, grał, odległość jednak była tak duża, że zaledwie czasem dolatywało mnie ciche kłapanie; że grał dobrze, poznałem po jego ruchach. Wachlarz rozłożony, a głowa dumnie wzniesiona pochylała się i drgała w takt pieśni. Kogut zmieniał pozycję, obracał się na wszystkie strony, tak jakby mi chciał powiedzieć, napatrz się dobrze, abyś miał na cały rok.

Sam widok jednak podsuwa myśliwemu pokusy, któ-

rym chętnie się poddaje. — Uległem i ja. — Podchodzić otwartą polaną nie mogłem; wkopałem się zatem głębiej w śnieg, oparłem łokcie wygodnie na powierzchni, wymierzyłem starannie i wypuściłem pocisk 5,2 z mojej Büchsflinty.

Kogut strzepnął skrzydłami, zeskoczył na niższą gałąź, przez chwilę nie mógł złapać równowagi, wreszcie uspokoił się i pozostał nieruchomy, z pochyloną głową; poznałem, że jest trafiony.

Włożyłem nowy nabój i strzeliłem; kogut nie zmienił pozycji, dopiero trzecią kulą widocznie doskonale ugodzony, spadł jak kamień.

Radość moja była ogromna, gdyż w takich warunkach zdobyte dwa koguty dają więcej zadowolenia, aniżeli w normalnych całe tuziny.

Towarzysz mój nie miał tyle szczęścia, wprawdzie podchodził na drugiej górze koguta, ale mając w ręku „Schönauera", nie mógł strzelić głuszca tokującego w gęstej świerczynie.

Kiedy św. Hubert kogoś kocha, to mu wszędzie daje spotkanie. I tak, kiedy jechaliśmy autem w stronę Kosowa, wyskoczyły owce wprost pod wóz przezemnie prowadzony i jedna z nich powiększyła mój rozkład.

Kuzyn mój, który nie miał szczęścia do głuszców, twierdził, że połowa ostatniego trofeum i do niego stanowczo należy, nie mogłem pozostać głuchy na jego prośby i podzieliłem się ostatniem trofeum sumiennie, nawet przy wypłacie odszkodowania właścicielowi owcy.



ALEKSANDER ULM

Łowiectwo na Wystawie regjonalnej i rolniczej w Tarnopolu

Realizując myśl zaznajomienia społeczeństwa ze stanem i dobytkiem kulturalnym i gospodarczym województwa tarnopolskiego, nie mogli inicjatorowie Wystawy Regjonalnej i Rolniczej w Tarnopolu, pominąć łowiectwa. — Łącząc dwa zbliżone do siebie działy leśnictwa i łowiectwa w jednym pięknym pawilonie, dali publiczności zwiedzającej wystawę możność poznania tych działów naszego gospodarstwa krajowego, które w rękach fachowych, energicznych i napojonych dobrą wolą, winny obok rolnictwa być podstawą naszego gospodarstwa krajowego, jako wybitnie rolniczego.

Gdy wspomnę, że myśl urządzenia wystawy, rzucona przez Panów Wojewodę i Wicewojewodę tarnopolskiego znalazła znakomitego realizatora w osobie P. Wicewojewody Stanisława Siedleckiego, który z dokładną znajomością terenu województwa, połączył ten sentyment jego ukochania, jaki mieć może człowiek w tych stronach urodzony, wychowany i mogący w swym pamiętniku zapisać najpiękniejsze karty swego życia spędzonego na tym terenie, który ponadto jako zamiłowany myśliwy-obywatel, dołożył wszelkich starań, by dział myślistwa godnie był na wystawie reprezentowany, będę dość usprawiedliwiony, że zachęcony przez Wiceprezesa Dra Sandera, zwiedziłem z Nim wystawę tarnopolską i o niej sprawozdanie w „Łowcu" umieszczam.

Zaraz na dworcu porywa nas tłum wycieczkowców, którzy korzystając z dnia świątecznego Św. Piotra i Pawła, licznie na wystawę zjechali i prowadzili do pięknych wrót wystawy.

Wystawa, umieszczona w parku miejskim, bawi oko różnobarwnemi, w stylu nowoczesnym wybudowanemi pawilonami, z pawilonem rękodzielniczym na czele. Muzyki Małopolskiej Straży Ochotniczej z różnych miejscowości, które tu dziś na zjazd przybyły, przygrywają na przemian, stając do konkursu muzycznego. — Nas ogarnia żyłka myśliwska, więc szybko przechodzimy teren wystawy, by we wschodniej jej części znaleźć zdala widoczny na wzniesieniu wybudowany pawilon leśnictwa i łowiectwa, który napisem „Darzbór", tem polskiem „Weidmansheil", gdzieniegdzie się przyjmującem, zaprasza nas do siebie.

W pawilonie idąc w kierunku wskazanym przez utrzymującą porządek służbę leśną, jesteśmy zaraz u wstępu mile zdziwieni piękną wystawą świeżych trofeów myśliwskich Jerzego hr. Potockiego z Pomorzan. Podnoszę, że trofea te są tem ciekawsze, że pochodzą z lat ostatnich i zdaje się, nigdzie dotychczas nie były wystawiane. A więc widzimy zbiór szabli dziczych, z których najpiękniejsze pochodzą z roku 1928. — Następnie w środku zawieszona skóra olbrzymiego niedźwiedzia, z dobrze wypchaną głową, zabitego w roku 1930 w Sołotwinie. Po obu jej bokach przedstawiają się okazale dwa wieńce jeleni ubitych w Polanicy w latach 1927 i 1929. Obok skóry niedźwiedziej nie brak drugiego okazu i ozdoby naszych kniei, to jest głowy dziczej, może nie tak kapitalnej, jakąby na Podolu ujrzeć można, ale zawsze pięknej i dobrze spreparowanej. Wśród pięknych rożków sarnich zauważyliśmy jedne z roku 1930, które powinny były być na wystawie w Warszawie, a może wtedy nie bylibyśmy tak pobici przez parostki z województwa kieleckiego, które na wystawie trofeów w Warszawie prym wiodły i najwyższe odznaczenia uzyskały.

Następnie zwracają naszą uwagę eksponaty Klubu myśliwskiego w Brzeżanach. W pokazie tym poznajemy rękę naszego delegata prokuratora Scholza, który

z ramienia M. T. Ł. czuwał nad działem łowieckim wystawy i zachęcał myśliwych członków do jej obesłania. Dlatego też na tem miejscu za podjęty trud należy Mu się serdeczna od nas podzięka. — Wśród eksponatów Klubu spostrzegamy trzy skóry dzicze i piękne szable. Następnie zwraca uwagę ryś dobrze wypchany Szeffińskiego, oraz skóra olbrzymiego dzika, Goldenberga z Monasterzysk.

Z trofeów wystawionych przez Jerzego hr. Baworowskiego z Ostrowa, zwraca uwagę wieniec jelenia z roku 1920 i parostki sarnie z roku 1917, odznaczające się pięknem uperleniem.

Okazale przedstawia się wystawa trofeów myśliwskich Ludomira Cieńskiego. Zwraca tu uwagę, że propaganda za preparowaniem poroży wraz z całą czaszką, znajduje powoli u naszych myśliwych zrozumienie, a ładny jeleń p. Cieńskiego, zabity, o ile sobie przypominam, w r. 1929, jest pięknym tej propagandy wyrazem. Obok jelenia zwraca uwagę piękna głowa dzika ubitego w r. 1928, skóra niedźwiedzia z preparowaną głową, ubitego w roku 1930, dwie wilcze skóry, oraz ryś, wyjątkowo piękny, choć niemodnie speparowany w postaci wiszącej.

Nie brakło na tej wystawie atrakcji dla zainteresowania szerokich rzesz publiczności. Jest nią pięknie ustawiona, zajmująca cały bok pawilonu diorama, ukazująca wśród pomysłowo ustawionej flory Podola całe bogactwo jego fauny. A więc widzimy wyłaniającego się z gąszczów smereków ciekawego, białego rogacza, dalej kryjące się wśród żyznych podolskich rozłogów stado kuropatw, które z ciekawością obserwuje przemyślny mykita. Są tam jeziorka i strumyki obsiane ptactwem wodnem i błotnem, wśród których zabłąkany pelikan zdaje się dziwić, że w tak uroczą a nieznaną mu okolicę przyleciał.

Tuż przed wyjściem z pawilonu, zatrzymuje jeszcze nasz wzrok wystawa Ordynacji Chorostkowskiej, na której podziwiamy wspaniałe szable dzicze, oraz ładnie spreparowane dwa głuszce.

Wychodzimy z napchanego publicznością i skwarem dnia czerwcowego rozpalonego pawilonu i śpieszymy, aby jeszcze rzucić okiem na resztę wystawy uplasowanej w parku, a następnie bardzo ciekawy dział etnograficzny i krajoznawczy, umieszczony w gmachach dwu gimnazjów oraz ciekawą wystawę zabytków kultu religijnego, żydowskiego.

Oczywiście łamy „Łowca" nie są otwarte dla opisów tych działów, a co do działu łowieckiego, pozostaje mi jeszcze przeprosić tych wszystkich wystawców, których w krótkim opisie wymienić nie mogłem, wyrażając wszystkim wystawcom serdeczną podziękę od tych myśliwych, którzy tę wystawę oglądnęli, za ich trudy w tych ciężkich czasach około obesłania wystawy, wyrażając nadzieję, że bogate nasze Podole kultywować będzie hodowlę zwierzyny nadal intensywnie i w pokazach trofeów myśliwskich nie da się uprzedzić innym województwom.

FRANTZ MUNCH ROSENBERG

Łowy na grubego zwierza

(Tłum. z ang. A. M.)

(Ciąg dalszy)

Landegod. Niedźwiedź. Łosie o łopatach 11-tu i 13-tu pasemkowych.

Cały szereg dni upłynął, w ciągu których nic innego nie spotkałem, jak tylko łosze — po kilka na dzień — a najczęściej same, bez swych małych. To mi dało dużo do myślenia, więc poleciłem Spillum'owi zabrać na łódź trochę żywności i ręczne nasze bagaże, przebyć jezioro Storesoien i skierować się do Gosen.

Od wczesnego rana, gdy wyruszyłem z Opdal'em, pogoda wcale nam nie sprzyjała, — jednakże w ciągu dnia rozjaśniać się zaczęło. Szliśmy najpierw brzegiem jeziora na zachód, potem podążyliśmy na śliczną zieloną łąkę, upstrzoną gdzieniegdzie małemi „seaters" (letniskami). Nimeśmy tu jednak doszli, napotkaliśmy w jednem miejscu resztki starej leśniczówki, a Opdal opowiedział mi komiczną historję z dawnych lat o łowach tu na niedźwiedzia.

Dwóch miejscowych myśliwych wyszło pewnego dnia na poszukiwanie niedźwiedzi, których w owe czasy wszędzie tu było pełno. O jednym z tych myśliwych, mówiono, że miał zawsze niesłychane szczęście na polowaniu, ale jednak żadnej zdobyczy nigdy jeszcze nie przyniósł.

W ciągu więc takiej wycieczki, zatrzymali się obaj w tej starej leśniczówce a wieczorem, gdy księżyc w całej pełni wypłynął na niebo, i jasnym swym blaskiem oświecił całą okolicę, nasi myśliwi opuścili leśniczówkę i cicho podkradli się do znajdującej się niedaleko „seater", weszli do jej wnętrza i usadowili się przy małem okienku, skąd mieli rozległy widok na łąkę.

Po pewnym czasie ukazał się duży niedźwiedź, idąc pomału, kiwając się, i blisko podszedłszy do budynku, zaczął grzebać w różnych nagromadzonych tu śmieciach i odpadkach. Był tak blisko, że z łatwością można było wymierzyć doń celny strzał, ale obaj odważni myśliwi nie śmieli tego uczynić. Gdy tak niedźwiedź nie przestawał ryć w tych śmieciach, rozrzucając je potężnemi swemi łapami na wszystkie strony, jeden z tych myśliwych wpadł na wspaniały koncept, a mianowicie: — cicho wykraść się stąd do leśniczówki i zgotować tam sobie kawy!

Jak pomyśleli, tak zrobili, — i wypiwszy po kilka kubków mocnej, czarnej kawy, z jakiemiś jeszcze podniecającemi domieszkami, tak się uczuli wzmocnieni na ciele i umyśle, że już pełni odwagi, śmiało powracali do „seater" i znalazłszy się w niej, zaglądneli znowu przez okno. Niedźwiedź wciąż był na śmietnisku, ale myśliwi i tym razem nie odrazu zebrać się mogli do strzału, — naradzali się, gadali między sobą, aż w końcu wystrzelili, ale w jakim kierunku, — niewiadomo, — bo niedźwiedź zawrócił tylko i znikł im z oczu

Dotarliśmy później do górskiej płaszczyzny, rozścielającej się u stóp „seater", straciwszy tak bezowocnie cały, długi dzień i wróciliśmy do lasu Landegod.

Poprzez rozległe bagna i leśne pagórki, doszliśmy do rzeki płynącej samym środkiem doliny, gdzie nakoniec „Varg" coś zwęszył, — myślałem, że pewnie łosia. — Wkrótce jednak, przekonaliśmy się, niestety, że to były tylko głuszce!

Idąc biegiem rzeki, natknęliśmy się na starą, pół rozwaloną leśniczówkę, jednak były tu świeże ludzkie ślady i znaleźliśmy nawet nad brzegiem rzeki wiele uzbieranych muszli, których według objaśnień Opdal'a, dużo się znajduje w rzece, w niektórych miejscach, a czasem nawet z ładnemi perłami.

Doszliśmy wkońcu do leśniczówki Gosen, na ścianie której wisiały piękne łopaty łosiowe o 11-tu pasemkach, co mi dało do zrozumienia, że mój przyjaciel odszukał swego łosia; to też powróciwszy tu wkrótce, opowiedział mi całą swą historję.

Gdy opuścił Vesteraa, do południa nic nie spotkał; dopiero nad wieczorem, rozłożywszy się na odpoczynek w pięknej tej dolinie, Brondbo zauważył, że się coś porusza w małym leśnym prześwicie na szczytach gór Finfjeldet, oskrzydlających z zachodu tę dolinę. Przypatrzywszy się dobrze przez binokle, poznali odrazu, że to był łoś z łoszą, natychmiast więc zaczęli go podchodzić.

Brondbo, jako zawołany i skończony myśliwy, a doskonale znający ten las, nie zmyliwszy ani na jeden krok, zaprowadził mego przyjaciela na miejsce, gdzie się ukazał łoś z łoszą, — jednak już ich tam nie było — przeszli tymczasem trochę wyżej na szczyt. Gdy teraz myśliwi szli tropami, łoś zawrócił na nich, tak, że panu P. szczęście zupełnie dopisało!

Z wielkiem zajęciem słuchałem opowiadania o doskonałej działalności nowego jego sztucera Holland & Holland Mauser, z silnym nabojem 375 Magnum, tego samego systemu co i mój, ale o dwu lufach. Podobno jednak zmuszony był strzelić do tego łosia najmniej 4 razy, trafiając go zawsze w okolicę grzbietu; pokazywał mi te kule — bardzo mało rozpłaszczyły się.

Pomimo, że teoretycznie nabój ten miał prawie że dwukrotnie większą siłę od mego małego 303, działalność jego jednak, jak się okazało, była mniej zadowalająca, niż mego małego naboju; nadmieniam to jedynie w tym celu, aby dać poznać, jak niepotrzebnem jest rozpowszechnianie strzelania z tych silnych, niebezpiecznych kalibrów; tyle ma się na to przykładów i tyle się wciąż o tem słyszy!

Przez kilka następnych dni ciężko wciąż pracowaliśmy, spotykaliśmy jednak same tylko łosze. Znalazłem raz tropy dużego łosia, na płaszczyźnie Finfjeldet, ale poznałem wkrótce, że były one bardzo dawne.

Podług wszelkich prawideł rzadko się spotyka łosia w początkach sezonu myśliwskiego, gdy zaczynają one wędrówkę swą w poszukiwaniu łosz. Przynajmniej ja to spraktykowałem w okręgu Snaasa i uważam, że się bardzo złożyło niefortunnie, że te 10 dni od otwarcia sezonu nie wypadają przy końcu września, co się właśnie zdarza w niektórych południowych okręgach.

Brondbo uporczywie nalegał, abym starannie zwiedził strome bardzo i zalesione szczyty, które ciągnęły się od Merkesakslen w dół do samej doliny, aż do granicy Collet, i mówił mi, że przeszłych lat zawsze spotykał tam łosie.

Nieraz nawet zdarzyło mi się, polując niedaleko, przechodzić koło tych gór, ale przyznać się muszę, że ich stromych strasznie skłonów, t. j. chodzenia po nich, obawiałem się zawsze. Pewnego jednak dnia, Opdal i ja poszliśmy na zachód wzdłuż Finfjeldet, a ponieważ wiatr od doliny dął silnie, spięliśmy się nieco na tę górę. Zdecydowaliśmy nawet iść coraz wyżej, a gdy doszliśmy do wierzchołka zwanego Merkesakslen, natknęliśmy się na świeże zupełnie tropy łosia, który szedł szczytem na zachód, — prawdopodobnie z sąsiedniego lasu Solem.

Młody pies węszył czas jakiś te tropy i wiele tu nawet sprytu okazał. Ponieważ nadchodziło już południe, a polowanie z pewnością zaciągnęłoby się na długo, — zatrzymaliśmy się na krótki odpoczynek w małej jakiejś kotlince, zagotowaliśmy kawy i przekąsili, aby nabrać sił na dalsze, uciąźliwsze pewnie marsze.

Wkrótce tropy te zaczęły prowadzić nas w dół i już obawiać się zacząłem, że przejdą aż za naszą granicę, dalej, w sąsiedzkie tereny. Jednak pomyślałem znowu, że ponieważ wiatr jest teraz silny, to łoś zawróci z pewnością na nasze terytorjum w dół, więc wróciliśmy z drogi i obeszli całą górę Merkesakslen i dopiero wtedy schodzić zaczęliśmy z wierzchołka.

Takie zboczenie z drogi trwało bardzo długo, czegośmy się zresztą spodziewali, gdyż potem długo trzeba było iść do lasu Solem, bo tam tylko odpowiednie, a raczej możliwe było zejście w dół. A i tu droga wiła się nam zupełnie prawie prostopadle, tak, że musieliśmy się wciąż czepiać za pęczki wrzosów, lub za krzaki jałowców, aby się nie pośliznąć i nie spaść na dół. Mniejwięcej w połowie tego skłonu weszliśmy w niewielkie wyżłobienie terenu i tu znaleźliśmy tropy, które, na szczęście zdawały się zwracać znowu do lasu Landegod.

Pies mój rzucać się zaczął na smyczy, a ponieważ nie wiedzieliśmy, jak daleko łoś się od nas znajduje, postępowaliśmy z jak największą ostrożnością. Nakoniec byliśmy już w samej dolinie, poprzerzynanej w wielu miejscach pagórkami, gęsto staremi drzewami pokrytemi. — W takich miejscach wiatr zmienia wciąż swój kierunek, więc nie miałem wielkiej nadziei na pomyślny wynik tej naszej wyprawy.

„Varg" ciągnął naprzód i w końcu zgubiliśmy te tropy, a gdy w dodatku wiatr ustawać zaczął, pies już nawet nie wiedział, w którą stronę się zwrócić. Po chwili więc, gdy tylko uczułem nowy podmuch wiatru po karku, przyszedł mi rozum do głowy i poradziłem znowu wdrapać się na ten djabelski szczyt, gdzie wiatr już wiał nieustannie.

Teraz wróciła mi już nadzieja i miałem niepłonne przeczucie, że upolujemy tu nadzwyczajnego jakiegoś łosia, chyba, że może on pierwej od nas zdążył już dostać się na szczyt, wbrew moim przewidywaniom, — a w dodatku, może i zwietrzył nas, gdyśmy wpierw schodzili do doliny.

Kierując się więc na wschód, w największym spokoju i w głębokiej ciszy, doszliśmy wkrótce do dogodniejszego skłonu, chociaż zawsze bardzo stromego i pies widocznie coś zwietrzył, bo się mocno zaczął szarpać na smyczy. Czy to był ten sam łoś, któregośmy tropili wciąż, czy też znowu inny? Tropy były coraz wyraźniejsze, więc postępowaliśmy za niemi, jak tylko można było najostrożniej.

Las, choć nie tak jak w dole, ale jednak i tu bardzo był gęsty, a głównie tak podszyty listowiem i gałązkami, że dalej jak na kilka kroków, nic już widzieć nie można było. Nagle pies przystanął, potem zawahał się w którą stronę się zwrócić, już chciał cofnąć się w tył, — przez chwilę więc pomyślałem, żeśmy pewnie zaszli za daleko. Wpatrując się uporczywie w gęstwinę, pomiędzy pnie drzew, zobaczyłem coś dużego i ciemnego w odległości mniej więcej 70—80 yardów. Pośpiesznie wyjąłem binokle i rozpoznałem łosia, ale łba jego dojrzeć nie mogłem, gdyż zakrywały go pnie całej kępy brzóz. Opdal, stojący niedaleko odemnie szepnął: „łoś", a gdy zwróciłem się trochę w bok, ujrzałem ogromny łeb o wspaniałych łopatach.

Łoś ten stanął w jakiemś wgłębieniu, tak, że widać było tylko wierzch jego tułowia, więc jakiegobym nie obierał położenia, muszka mego sztucera znajdowała się zawsze jeszcze za wysoko na jego grzbiecie. Nakoniec, zmieniwszy jeszcze położenie, chociaż widziałem, że wciąż mierzę za wysoko, ale bojąc się zwlekać dłużej — wystrzeliłem.

Na odgłos strzału łoś zniknął pędem błyskawicy pomiędzy drzewami, a mnie serce mało nie pękło z rozpaczy! — Chwila jedna — a olbrzymi łeb ukazał się z za drzew i widzę, jak się łoś wyraźnie zatacza to w lewo to w prawo, potem staje nieruchomo jak odrętwiały — doskonale całego widzę. Był biedak ciężko ranny, ale jednak nie dostatecznie ciężko, więc wystrzeliłem natychmiast z lewej lufy, pod tylną łopatkę, — i położyłem go na miejscu...

Dobrześ się spisał, mój mały „Varg"! Na dowód, że był on czystej rasy psów do łowów na łosie, zbliżył się do nieżywego łosia i zaczął szarpać zębami i wyrywać zeń całemi kępami sierść, jak to czynił właśnie stary „Flink".

Okazało się, że był to wspaniały, ogromny łoś, a łopaty jego miały po 13 pasemek, silnie rozwiniętych. — Zdobycz taka, — zwłaszcza w teraźniejszych czasach — była nie do pogardzenia!

Jak się właśnie domyślałem, pierwsza moja kula trafiła go za wysoko; znalazłem jej kawałki pod skórą łosia po przeciwnej stronie; jednak widocznie, tak go to oszołomiło, że nie przeczuwał drugiego strzału. Następna zaś kula zmiażdżyła mu płuca i serce i wyszła, wyżłobiwszy sobie potężny wylot.

Zrobiłem sobie kilka zdjęć fotograficznych z ubitego łosia, potem wypatroszyliśmy go i rozrzuciliśmy jego wnętrzności po skłonie górskim aż na dół, aby wyraźnie zaznaczyć to miejsce.

Wielkie było moje zdumienie, gdy o jakie 300 yardów od tego miejsca dostrzegliśmy wiszący na gałęzi brzozy, ogromny surowy zad łosia, a na ziemi ślady ćwiartowania mięsa. Tu właśnie przyjaciel mój zabił łosia i dziś go dwóch ludzi stąd zabierało.

Dwukrotnie więc kręcono się w tem miejscu, w krótkich stosunkowo odstępach czasu, i z pewnością, gdy go sprzątano, cisza wielka nie była zachowana, więc nadzwyczaj dziwnem mi się wydało, że się mój łoś tego nie przestraszył i nie zemknął gdzieś daleko! Ze wszystkiego wynika, że tropiony wciąż przez nas łoś, był właśnie tym, którego wkońcu zabiłem i że to on właśnie ciągle się przed nami niedaleko znajdował.

Powróciliśmy teraz do leśniczówki w Vesteraa i oprócz małego łosia, którego upolował mój przyjaciel w Braendevinshaugen, nie widzieliśmy więcej łosi godnych strzału — aż do samego końca okresu łowów myśliwskich.

Koniec łowów w Norwegji.



†

Aleksander de Paparona Papara

właściciel dóbr Batiatycze, długoletni delegat M. T. Ł. i członek jego Wydziału

zmarł dnia 8. lipca 1931.

Zmarły był znanym i wysoko cenionym dla zalet charakteru w kołach ziemiańskich i myśliwskich. Słynął z wysoko pojętej etyki łowieckiej i świecił przykładem, jako zamiłowany hodowca-myśliwy.

Cześć pamięci zacnego obywatela i wiernego Towarzysza z pod znaku św. Huberta.

ALEKSANDER ULM

Pierwszy pokaz trofeów łowieckich w Warszawie

W Nrze 25 „Łowca Polskiego", z 20 czerwca 1931, podaje p. Janusz Domaniewski w artykule pod powyższym tytułem, opis pokazu trofeów łowieckich w Warszawie, który się odbył tam w maju. Wyniki konkursów i udzielonych nagród są tak dla Małopolski zaszczytne, że uważam za wskazane, ku podniesieniu serc w obecnych czasach mizerji i depresji, podać je do wiadomości naszych myśliwych.

Weźmy pod uwagę pierwszy dział, t. j. wykresy, wykazy i dane statystyczne. Pierwszą nagrodę za wykresy statystyczne, opracowane przez referenta łowieckiego Ministerstwa, inż. M. Cierpińskiego, otrzymało Ministerstwo Rolnictwa. Cóż z tych wykresów spostrzegamy w odniesieniu do Małopolski? Otóż na jednego delegata Polskiego Zw. St. Łow., wypada w Polsce 42.200 ha, ale w województwie krakowskiem już na 20.000 ha, wypada jeden delegat.

Na następnej tablicy przedstawiony jest „Stosunek myśliwych zrzeszonych w Kółkach myśliwskich do ogólnej liczby myśliwych w roku 1930".

Tu średnia proporcjonalna dla całej Polski, wynosi 27% ale w województwach południowych Małopolski wynosi 58%, gdy zaś w innych 19, 30 i 19%. — Niezawodnie jest to zasługą M. T. Ł., które łącząc w organizację większość myśliwych Małopolski, przyczynia się do uzyskania tego najwyższego procentu. — Na następnej tablicy przedstawiony jest: „Stosunek terenów małorolnych, zarejestrowanych jako obwody łowieckie do ogólnej powierzchni terenów małorolnych". Stosunek ten wykazuje średnią dla całej Rzeczypospolitej 38% zaś dla województw południowych 70%, zachodnich 45%, centralnych 26%, a wschodnich 17%. Ten wykaz statystyczny daje chlubne świadectwo małopolskim władzom administracyjnym, które w zrozumieniu znaczenia rejestracji obwodów, dołożyły starań, aby jak największa powierzchnia terenów łowieckich była zarejestrowaną.

Następna tablica statystyczna jest dla nas ciekawą. Ilość osób uprawnionych do polowania naliczono w Polsce na 50.130, z czego zrzeszonych było 27%. Statystyka nie podaje, jaki stosunek istnieje pod tym względem w Małopolsce, co jednak z tablicy drugiej o stosunku myśliwych zrzeszonych do ogólnej liczby myśliwych da się wywnioskować. Natomiast statystyka podaje największą ilość myśliwych w następujących województwach, poczynając od najwięcej posiadających. — Zatem idą kolejno województwo: warszawskie, łódzkie, kieleckie, lubelskie, poznańskie, wileńskie i t. d., a zatem dopiero potem mogą następować województwa małopolskie. W tym samym porządku mniej więcej, idą województwa co do ilości myśliwych zrzeszonych. Oczywiście tam gdzie najwięcej myśliwych, tam powinno być i najwięcej zrzeszonych. Cóż się stało pod tym względem z województwami małopolskiemi? Wszak z innego wykresu zobaczymy, że i kłusowników mamy najmniej.

Zatem u nas jest w porównaniu znacznie mniejsza ilość myśliwych niż w innych województwach, stawiająca nas pod tym względem gdzieś co najmniej na siódmem, ósmem i t. d. miejscu. Jest to bezsprzecznie wynikiem większej ostrożności w wydawaniu kart myśliwskich, a kwestją otwartą byłoby pytanie, czy dla kultury łowieckiej lepszą jest większa, czy też mniejsza ilość myśliwych. Sądzę, że w oświetleniu i tej statystyki, Małopolska wychodzi z honorem. — Do tej statystyki dodaje opis p. Domaniewskiego ciekawą wzmiankę, że najmniejszą ilość myśliwych mają województwa tarnopolskie i nowogródzkie. A zatem w Małopolsce, województwo dostarczające największej ilości zwierzyny łownej, jak: zajęcy i sarn, ma najmniejszą ilość myśliwych w całej Polsce!

Następna tablica ilustruje nam ilość zaprzysiężonej straży łowieckiej. Wykazuje ona, że najwięcej straży łowieckiej posiadają województwa południowe, a dalszy wykres przedstawia, że ilość straży stoi w odwrotnym stosunku: im więcej straży, tem mniej wykroczeń. Z tej statystyki widzimy, że w Małopolsce, gdzie najwięcej jest straży, istnieje najmniej wykroczeń łowieckich, a więc jest najmniej kłusowników, wnykarzy i t. d.

W krótkim artykule nie przedstawił p. Domaniewski wszystkich tablic statystycznych, wyrażając całkiem słusznie życzenie, aby i resztę podać do wiadomości ogółu w osobno tej sprawie poświęconej pracy. Sądzę, że i w następnych tablicach i wykresach, myślistwo „województw południowych" wyszłoby zwycięsko w porównaniu z resztą obszarów Rzeczypospolitej.

A teraz przystąpimy do omówienia odznaczeń, za trofea. — Za jedynego wystawionego niedźwiedzia otrzymuje medal bronzowy, Józef ks. Jabłonowski. Za rysie, Roman hr. Potocki medal złoty a Józef ks. Jabłonowski i St. hr. Tyszkiewicz, po medalu srebrnym. — P. Domaniewski stwierdza, że wnioskując z ilości przysłanych do pokazu rysi, stan tego zwierza w porównaniu ze stanem przedwojennym, znacznie się podniósł. Nie wiem, jak jest z rysiami w województwach północnych i wschodnich. U nas w województwach południowych, dowodzą myśliwi, że stan rysi zmniejszył się znacznie, wskutek wyłapania ich na żelaza nastawione na wilki, które ze względów ochrony jelenia karpackiego, należało wytępić.

O stanie sztuki preparatorskiej w Małopolsce, chlubnie świadczy wzmianka p. Domaniewskiego o rysiu wypchanym znakomicie w całości przez Kalkusa ze Lwowa. Chlubą Małopolski na pokazie trofeów są szable Juljusza hr. Bielskiego, które uzyskały 432 punktów i złoty medal. Są to szable bezwarunkowo rekordowe, jakich u nas dotychczas nie widziano. Dla porównania z następnemi szablami, które też otrzymały medal złoty, t. j. Gustawa Czarnockiego, podam, że przy kwalifika-

cji otrzymały te ostatnie o 68 punktów mniej, bo tylko 364 punktów. — Godzi się wreszcie wspomnieć, że w dziale: „Całe dziki, skóry i łby dzicze", otrzymał złoty medal Stefan hr. Badeni z Koropca.

Nie obeszło się niestety i bez ujemnych stron dla myślistwa małopolskiego na pokazie trofeów. Otóż zawód sprawiło nam województwo krakowskie, które wystawiło dwa niepokaźne egzemplarze trofeów, a wreszcie brak wieńców jeleni karpackich, który sprawił, że jeleń nizinny Endera, wytrzymał znakomicie konkurencję z karpackim bykiem Władysława Müllera. Tak więc, mogąc bezwątpienia zająć w dziale wieńców jelenich pierwsze miejsca, tylko wskutek nieobesłania pokazu, musimy się zadowolić czwartem miejscem.

W każdym razie pokaz trofeów w Warszawie wykazał, że Małopolska, tak pod względem organizacji myśliwych, jakoteż pod względem administracji i ochrony terenów łowieckich, stoi na pierwszem miejscu a pod względem jakości trofeów, jeżeli dała się wyprzedzić innym województwom, to stało się to tylko przez zapoznanie znaczenia pokazu, i nienależytego obesłania go, co może być w latach przyszłych naprawione.



KORESPONDENCJE

Łapajówka, dnia 3 czerwca 1931 r.

Przybrana matka

W dniu 2 kwietnia b. r., w lasach Witolda ks. Czartoryskiego, strażnik łowiecki Szczepaniak Michał, obchodząc swój obchód, zauważył na śniegu ślady krwi, jak również ślad lisa. Idąc za śladem, doszedł do jamy lisiej, której wejście również było zabryzgane krwią.



Zaciekawiony tem spostrzeżeniem, na drugi dzień wziąwszy sobie do pomocy swego syna, udał się na miejsce odnalezionej jamy lisiej, i zaczął dokopywać się do jej wnętrza. Wykopawszy dół głębokości około 2 metrów, natknął się na kreta, zagryzionego przez lisa, a w krótki czas potem odnalazł 2 młode, jeszcze ślepe lisy, które zabrał z sobą i oddał na wychowanie młodej suce, mającej już dwoje, również ślepych szczeniąt.

Przybrana matka, nietylko że nie pogardziła malutkiemi lisami, lecz troskliwie zaopiekowała się niemi, a nawet więcej lubiła powierzone jej do wychowania lisy, aniżeli swoje własne dzieci.

Obecnie znajdują się na leśniczówce, w specjalnie dla nich ogrodzonem miejscu, gdzie chowają i czują się wspaniale.

Na załączonej fotografji widzimy sukę ze szczeniętami i lisami, jednak różnica jest tak mała, że bardzo wątpię, czy który z pp. myśliwych odróżni je między sobą.

Jan Kwiatkowski



KOMUNIKAT

Założenie Spółki „DROBEX"

Rzucona już przed paru laty myśl zorganizowania handlu i eksportu ubitej zwierzyny w Małopolsce znalazła wreszcie realizację w powstaniu Spółki z ogr. odp. dla handlu i eksportu drobiu i zwierzyny w skrócie „Drobex", we Lwowie, ul. Św. Magdaleny 3. Telefon Nr. 10—20.

Powstanie „Drobexu" przyśpieszył ostatecznie fakt, że niespodziewana masa ubitej zwierzyny a w szczególności zajęcy w ubiegłym sezonie myśliwskim, z braku zorganizowanego handlu, musiała być za bezcen sprzedawaną ze szkodą dla hodowców i ze szkodą dla gospodarstwa krajowego.

Zdając sobie sprawę z korzyści dobrze zorganizowanego handlu i eksportu dla podniesienia kultury łowieckiej, uchwalił Wydział M. T. Ł. udzielać poczynaniom „Drobexu" jak najdalej idącego poparcia i w tym właśnie celu odnosi się do ogółu myśliwych a w szczególności do właścicieli większych ośrodków hodowli zwierzyny łownej, a także i drobiu, aby zechcieli we własnym interesie już przed rozpoczęciem sezonu myśliwskiego, podać swe adresy wprost Drobexowi, Lwów, ul. Św. M. Magdaleny 3, celem nawiązania bliższego kontaktu.

Zaznaczamy, że „Drobex" będzie dysponować we Lwowie odpowiednią chłodnią i nawiązał już pertraktacje z firmami zagranicznemi, celem przeprowadzenia eksportu tak zwierzyny, jakoteż i drobiu.

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego
Drukarnia Księgarni Polskiej Bernarda Połonieckiego, Lwów, ul. Chorążczyzny 27 — Telef. Nr. 85 - 16